

- Demonios blancos! Bastardos, bastardos! - Okrzyk zżeranego przez słońce kapitana pochwycił zachodni wiatr. Zebrani na pokładzie żaglowca „Cuauhtemoc” ludzie przerwali wykonywane prace, aby wyteńczyć oszronione solą morską oczy i dać się ponieść wirowi cierpkich słów dowódcy. Palec Miguela wskazywał na odległą toń, skrytą jeszcze przez moment za zasłoną mroku.

Długo, długo nic. Sekundy płynęły.

Aż w końcu... jest!

Gdzieś za starannie oblizywanym przez fale horyzontem zamigotała sylwetka statku.

- Co się dzieje? Co się dzieje?! – Przejęty jak nigdy dotąd sprzątac odrzucił szmatę, gęsto przesiąkniętą pokładowym szlamem. Wszyscy mieli w dupie, czy zmywa, czy też nie. Szczyn więc z tym! Potrząsnął ciałem nie mniej przejętego od siebie majtką, którego twarz ćwiekowana była wysypką bulwiastych krost. Sam nie rozumiał zbyt dobrze po hiszpańsku - w ramach jego pojmovania znalazły się wyłącznie wypływające dookoła przekleństwa – dlatego musiał zasięgnąć języka u kogoś wszechstronniej... wykształconego.

- Mówi... – począł tłumaczyć mu zagadnięty. – Mówi, że biali stoją u stóp naszego ukochanego Meksyku. Bastardos na pieprzonym horyzoncie, oto, co mówi!

Przerażenie.

- Niebieskie diabły?

- Niebieskie diabły!

- Psiamać! – wrzasnął przytłoczony tą wiedzą sprzątac.

Wrogi cień połknął kolejną milę morską. Ile czasu zostało? Tego nie wiedział nikt.

Do zatoki zawinęła groźba burzy. Meksykanie z pasją rzucili się do ładowania broni.

Okręt flagowy kibiców Ruchu Chorzów przecinał wodę niczym rozjuszona piła mechaniczna, która natrafiła na wyjątkowo miękkiego przeciwnika, rznąc przy tym mielizny z dostojnością nowoorleańskiej kurtyzany. Atmosfera sielanki. Browarki, poklepywanie po plecach, wyrywanie ław z posad, a także siłowanie na ręce i rozmowy o dziewczkach.

Bosman młynowy zaintonował pieśń:

Hej-ho, hej-ho,

Nam niestraszne fale,

Kurwa, ja to się nie boję wcale!

Autor zarechotał zadowolony z nowo skomponowanej szanty. Chciał ją niezwłocznie zapisać, jednak coś niepokojącego przypuściło atak na jego uwagę...

Świeżo wypastowany pokład zaskrzeczał donośnie.

W progu głównej kajuty stanął mężczyzna. Czarne adidas rozmiar czterdzieści sześć, ortalionowy dres i lekko posiniaczona, łysa głowa. Można go było pomylić dosłownie z każdym.

Można, lecz Bosman wiedział co-i-jak, dlatego nie odezwał się już ani słowem. Nie był głupi. Zupełnie stulił pysk, chowając dumę do kieszeni – tam, gdzie od dawna trzymał odwagę, dobre maniere oraz głębiej, w specjalnej przegródce, sprężynowy scyzoryk.

Na okręcie to paski dyktowały pozycję, status oraz prawo. Tak się rzecz miała, że nowo przybyły posiadał ich trzy; belki przebiegały dumnie wzdłuż jego naciągniętych przez mięśnie łydek spodni.

Kapitan Marek B., pseudonim Brzeszczot, wstał tego ranka wyjątkowo wcześnie. Niby to zaklął szpetnie, kopnął kogoś w gardziel, ale w głębi jego duszy tliła się prawdziwa raca radości. Cieszyła go szczerze sumienna praca całej załogi. Wieść o rychłym złupieniu Veracruz i reszty miast wybrzeża nasyciała wszystkich podnieceniem, nadawała spracowanym tricepsom, bicepsom oraz pięściom dodatkowej mocy.

Nawet jeśli pojawiał się konflikt, zaraz zostawał sprawnie rozwiązywany.

Kapitan rozejrzał się uważnie.

Właśnie odbywała się ustawka.

Dwóch majtków w stopniach szalikowca krążyło w morderczym kręgu śmierci. Wokół nich, w formacji przypominającej falangę, zebrali się przyklaskujący miarowo ludzie. Kilku prowadziło doping, reszta śpiewała za nimi.

Na klingach lśniących maczet szalikowców osiadł pot. Niczym mech porósł też ich rękawy, bez trudu dobijając przez ręce do samych pleców. Mężczyźni kalkulowali siły, lecz sprawa była raczej przesądzona. Bartłomiej S. złamał ostatnio rekord sto czterdziestu kilogramów na klatę, co stawiało go znacznie wyżej ponad wątłym Kazimierzem, zwanym gdzieniegdzie „Szczurem”. Ten mógł tylko naiwnie liczyć, że ostrze przeciwnika minie jego kończyny i obdaruje go sekundą – może dwoma - na wyprowadzenie finty zakończonej pchnięciem ostatniej szansy. W końcu wcale niedawno odstawił piwo oraz wódkę, wrócił do ćwiczeń, więc spokojnie mógł polegać na swojej zwierzęcej szybkości.

Marek B. z rozbawieniem obserwował, jak Szczur obcina przeciwnikowi rękę, a następnie sam wpada w pułapkę i dostępuje dekapitacji.

Dobrze, że konflikt nie eskalował przesadną przemocą i zakończył się błyskawicznie. Wszedł dwóch, wyszedł prawie jeden: wszystko zgodnie z kodeksem kibica.

- Słyszałem, że komandor Młodzik myśli o przyszyciu panu czwartego paska – rzekł do kapitana Szy-

mon P., jak zwykle opancerzony w ulubioną kurtkę z rozdrażnionym Pitbullem. – Gratuluję!

Kapitanem coś drgnęło.

- Eee! Eee! – ryknął w odpowiedzi Marek B., po czym dopadł burty, aby obłąkańczo wlepić spojrzenie w pustkę. Niczym wytrawny chirurg zaczął dopraszać się kolejnych narzędzi. Piwko – jest! Lornetka – jest! Po kilku chwilach spędzonych sam na sam z oceanem zmarszczka eureka wykrzywiła kwadratowe, kapitańskie czoło. – Niech mnie kosa usiecze, jeśli to nie Meksy! Damian, Głowa, walić w tarabany, ładować kartacze, nakładać kastety, odpalać pirotechnikę! Idziemy na wojnę!

Tuzin rośłych, gładko przystrzyżonych chłopca wystrzeliło migiem do stanowisk bojowych.

Niebieski okręt pożeglował ku przeznaczeniu.

Starszy mężczyzna na wózku inwalidzkim podjechał pod stoisko z watą cukrową. Niemiłosiernie capło dorszem.

- Kurwa – skomentował niedogodność i z niechęcią zakupił wnuczce największy możliwy smakołyk.

Nie spodobało mu się to miejscowe wybrzeże. Nic a nic. Plaża w Gdyni – fe!

Chociaż tyle, że mecz jest, chociaż tyle! Inaczej nie szłoby wytrzymać.

W pewnym momencie grymas wypłynął na pooraną wąwozami bruzd szczękę. A cóż to, kurwa, a cóż to?

W porcie cumowała jednostka środkowoamerykańska.

Zaraz...

Charakterystyczny wyłom po kuli w lewej burcie.

Zaraz, zaraz!

Starzec dobrze go pamiętał. Ręką pogładził się po sztucznym oku. Nawet teraz go piekło, po tylu latach...

Po molo przechadzali się marynarze. Nie było wątpliwości co do ich pochodzenia. Marka B. zalała dawno zapomniana złość. Złość, ale także i tęsknota. Czasy pełne przygód, wątroba pełna zdrowych komórek, usta pełne zębów...

Mężczyzna wykręcił numer.

- Szymon P.? - zaczął. – Zbierz no kilku chłopca...

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

henrykinho, dodano 11.10.2013 09:17

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.